Cena numeru 15 zł.

RÓZGI
BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II | 4 maja 1947 r. | Nr. 19 (39)



Rys. REGINA KAŃSKA

Spekulant: Nawet w święto pracy nie ma człowiek spokoju...

LUDWIK JERZY KERN

NIE POWIEM NAZWISKA...

Jeśli piszę o panu ten wiersz
dyrektorze, to idzie mi o to,
że potrzebna twa postać w nim jest,
bym zabawić się mógł w pars pro toto.
(Pars pro toto — figura to znana,
niemniej znana napewno od pana).

Święcie wierzę i myślę, że pan
się zachowa jak, winien dyrektor.
I nie powie: — W mordę mu dam!
jak łobuziak lub jakiś bylekto.
Proszę, niech pan nie psuje zabawy.
No, a teraz przystąpmy do sprawy.

Wszem wiadomo, że auto pan ma,
a do auta służbową benzynę.
Pańskie auto wciąż pędzi, wciąż gna,
na wirażach zatrąbi i ginie.
I nie kończy się nigdy ta droga
(bardzo droga!) służbowa droga.

Co dziwniejsze: wycieczka lub raid
jest dla pana też drogą służbową.
Bo pan zawsze jest o key, all right
i załatwia pan wsio przepisowo.
Nawet żona dla celów służbowych
wozem jedzie po biustonosz nowy.

Przed północą na dancing lub w bar.
I do rana. Nad ranem zaś dnieje.
Więc do auta i: — Wal bracie, wal!
— Gdzie? Na spacer, kochasiu, w aleje!
Tak się zmienia aleję lipową
na ciernistą drogę służbową.

I dlatego, gdy piszę ten wiersz
dyrektorze, nie idzie mi o to,
żeby w ciebie uderzyć, lecz wierz,
żeś jest dla mnie pars tylko pro toto.
No, nie gniewaj się, nie złość, nie ciskaj.
Śpij spokojnie. Nie powiem nazwiska...

Różne nasze dzienne sprawy

Zaczęło się od uchwały: „będzie urządzona wielka międzynarodowa manifestacja w dniu, oznaczonym w tym celu, ażeby we wszystkich krajach i miastach jednocześnie robotnicy wezwali władze publiczne do wprowadzenia prawa organiczającego czas pracy do 8 godzin..."

Kiedy dzień oznaczono, stał się on daią nie jednorazowej demonstracji w sprawie ośmiogodzinnego dnia pracy, ale wszedł na zawsze do kalendarza jako święto ludu pracującego.

***

Pierszy Maja był święcony po raz pierwszy w 1890 r. Odezwa polskiego komitetu obchodu brzmiała wówczas następująco:

„...Na całym świecie 1 maja ustanie warczenie maszyn, zgaśnie ogień pod kotłem parowym. Fabrykanci z nieczystym sumieniem pochowają się w mysie dziury, a robotnicy pośpieszą na zebrania, gdzie będą się naradzać nad środkami wywalczenia ostatecznego zwycięstwa — przejścia fabryki i ziemi na wspólną własność ludu pracującego! I my nie możemy przyglądać się tylko z daleka walce naszych towarzyszy za granicą. I u nas nie przejdzie dzień ten na próżno..."

***

Ano, rzeczywiście, „u nas nie przeszedł dzień ten na próżno". Minęło kilkadziesiąt lat i oto — kosztem trudnych do zliczenia ofiar — święcimy wreszcie Pierszy Maja jako dzień zwycięstwa. Po raz trzeci po wojnie.

Po raz trzeci obchód 1 maja w Polsce jest „legalny" i odezwy komitetu obchodu są „legalne". Odezwy te noszą dzisiaj inny charakter, niż ta z 1890 r. Już nie wzywają „do narad nad przejściem fabryk i ziemi na wspólną własność ludu pracującego", gdyż to przejście zostało u nas szczęśliwie dokonane.

Pozostają natomiast do wykonia hasła:

„Wszystkie siły do walki o produkcję i dobrobyt".

„Wszystkie siły do walki o wypełnienie trzyletniego planu odbudowy gospodarczej, a w szczególności — o wykonanie Planu na rok 1947."

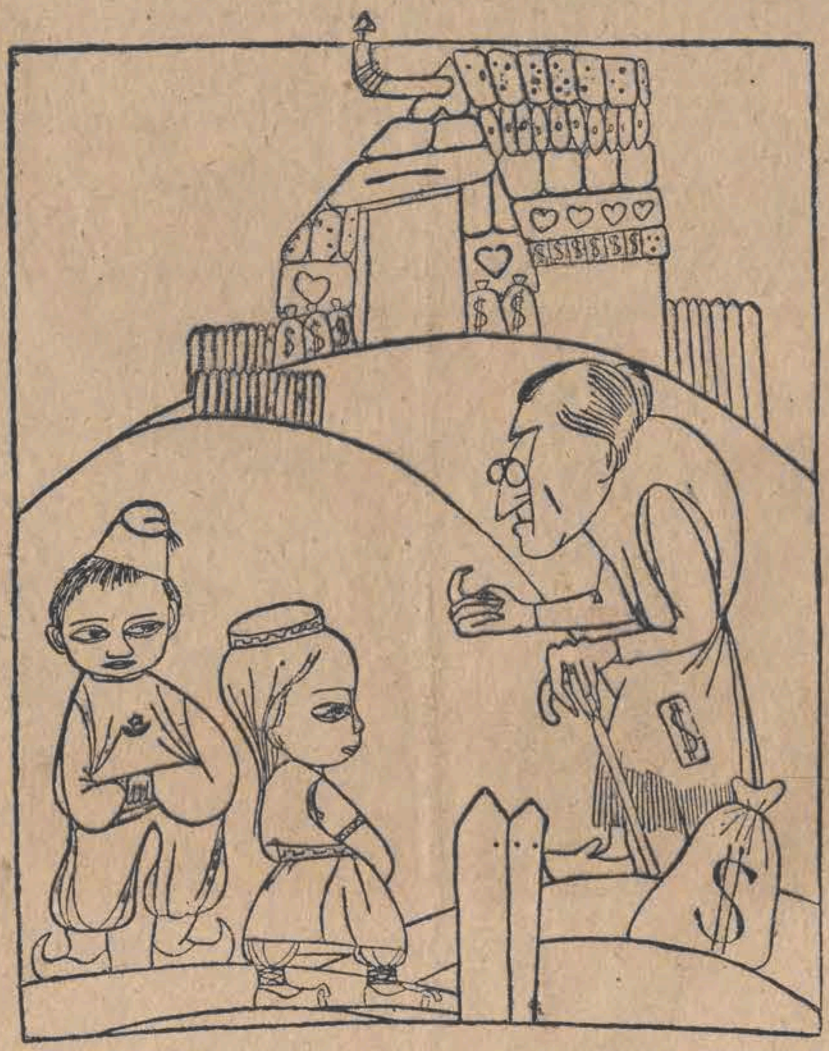
***

Nie „we wszystkich krajach i miastach" ludność pracująca ma możność swobodnego manifestowania swej woli utrwalenia pokoju i dobrobytu. Nie wszędzie jeszcze „lud roboczy wsi i miasta w jednośsi swojej stwarza moc" skuteczną do odparcia przemocy „rządzących światem samowładnie królów kopalń, fabryk, hut..."

W Hiszpanii „regent" Franco „nie uznaje" 1 maja; w Grecji policja królewska nie pozwala...

Nic to. Wbrew milionom dolarów — „porządek stary już się wali"„ a gwarancję jego zgonu dają choćby miliony dusz Światowej Federacji Związków Zawodowych i Zjednoczonych i solidarnych w walce o pokój, demokrację i prawa obywatelskie.

„JAŚ I MAŁGOSIA" (PO AMERYKAŃSKU)



Turcja Grecja Prez. Truman („Srsen")

— Pójdźcie, dzieci, do mojego domku; a ja wam dam 400 milionów



DŻENTELMEN

Dżentelmenów jest w Polsce znikoma ilość, ponieważ fach ten jest bardzo mało popłacający. Osobiście tylko za dwóch moich znajomych mogę ręczyć, że są bezwzględnymi dżentelmenami: jeden z nich to kominiarz, drugi listonosz pieniężny. Weźmy na początek pierwszego. Oto wchodzi do naszego mieszkania bezwzględny brunet w pełnym kominiarskim rynsztunku, uśmiecha się białym uśmiechem i z wrodzonym taktem udaje, że nie zauważa, iż się na jego widok z zapałem kręci guzik od ubrania, (co, jak wiadomo, przynosi szczęście). Nie zazdroszcząc nikomu niczego, co jest też zasadą dżentelmena, i idzie czyścić piec.

Każda pani domu wie doskonale, że wszystko co jest drogocennego w mieszkaniu, można bezpiecznie zostawić pod opieką kominiarza-dżentelmena i że nie ma wypadku, ażeby brunecik coś „zwędził". Po skończonej robocie podaje rachunek i wcale nie okazuje zdziwienia (prawdziwy dżentelmen nigdy się niczemu nie dziwi), gdy mu właścicielka mieszkania da napiwku tylko dziesięć złotych. Przy robocie o ile mieszkańcy znajdują się w pokoju nie wszczyna rozmów politycznych, tak jak malarze i murarze, wiedząc, że prawdziwy dżentelmen chowa swoje przekonania polityczne dla siebie i swoich najbliższych. Ponieważ dżentelmena wyobrażamy sobie jako człowieka pozbawionego lęku, a również z pewnym zacięciem sportowym, więc też często, wyjrzawszy rankiem przez okno, widzimy naszego murzynka, gdy na dachu pięciopiętrowej kamienicy wykonuje niebezpieczne ewolucje, za które kto inny otrzymałby w cyrku rzęsiste brawa. Wykonawszy swoją „czarną robotę", ze zwinnością ekwilibrysty złazi po drabince i znów idzie czyścić inne kominy z uśmiechem i pogodą ducha prawdziwego dżentelmena.

Drugi dżentelmen w Polsce to listonosz pieniężny. Czy zastanawialiśmy się kiedy, jakiego potrzeba hartu woli i opanowania, ażeby czegoś szeleszczącego nie uczknąć, gdy się ma całą torbę wypchaną banknotami! Jako literat absolutnie nie wytrzymałabym ażeby przez kilka godzin nie „poobracać" cudzymi pieniędzmi! Tymczasem nasz dżentelmen nie tylko, że nigdy tego nie robi, ale po jego szczerym spojrzeniu można przypuścić, iż nie grzeszy w tym kierunku nawet myślą. Dlaczego wypłacając odbiorcy przesyłki, grubszą forsę, nie jest zły, nabarmuszony i nie pała zazdrością — tego też trudno zrozumieć. Przeciwnie uśmiecha się i jako hyper-dżentelmen cieszy się cudzą radością. Dżentelmena-listonosza nikt nie ocenia, czego on, będąc na wyższym od nas poziomie, wcale nawet nie wymaga. Nikt go nie prosi, ażeby usiadł, nikt go nie poczestuje wódką lub chociażby herbatą. Chętnie bierze napiwki, co jego obrazu prawdziwego dżentelmena zupełnie nie mąci. Napiwek, a „łapówka" to zupełnie co innego!

Ponieważ nikt z was, panowie, nie dorósł do poziomu moralnego kominiarza i listonosza pieniężnego, więc też nie wymagamy od was tego opanowania hartu i woli i pod każdym względem doskonałego wychowania, niemniej w drobnych rzeczach można postarać się, ażeby przynajmniej wejść na pierwszy stopień dżentelmeństwa. Oto kilka wskazówek: kłaniać się z kordialnym uśmiechem znajomemu, któremu nie macie zamiaru oddać długu, wyższy stopień: zaczepić go z radosnym okrzykiem i zapewnić, że mu się danej sumy nie odda. Nie mówić koledze o kobiecie, którą znacie oboje, a z którą spędziłeś miły wieczór: „powiadam ci „taaka" była robota!" — (przy słowie „taaka" nie-dżentelmen zgina, oczywiście łokieć). Przy grze w karty nie prosić nagle panią domu o szklankę wody, szczególnie, gdy pani domu wchodzi też w skład grających. Nie macie pojęcia jaką nieraz dywersję robi taka głupia prośba. Każda pani domu zaproponuje wówczas herbatę, ponieważ zwykle łatwiej jej to przychodzi, ale pan uparł się i chce tylko szklankę wody, chociaż jej w domu nigdy nie pije. Woda w karafce stojąca na stole jest „wystała", trzeba zatym iść do kuchni, myć szklankę, puszczać przez chwilę wodę z kranu i na talerzyku podać ów rzadki nektar. Zły przykład robi swoje. Momentalnie drugi gość też prosi o szklankę wody, trzeci z głupkowatym uśmiechem również, a czwarty widząc z jakim zapałem tamci popijają, spoziera tak wymownie, że zniecierpliwiona pani domu, odkłada karty i przynosi z kuchni całą karafkę wody.

Materiał na dżentelmena ma zawsze przy sobie papierosy. Gdy podchodzi już prawie pod kominiarza, lub listonosza pieniężnego, nie chowa do kieszeni cudzego pudełka zapałek (rzecz najtrudniejsza do opanowania), nie powinien nosić przy sobie kupki cudzych listów, które miał gdzieś oddać lub wrzucić do skrzynki, a zapomniał lub mu się poprostu nie chciało. Tańcząc na dancingu, nie powinien wybebniać synkop na gołych plecach tancerki, a siedząc z kobietą w kinie, niech już raczej robi co innego, niż ażeby się miał zabawiać jej paznokciami i prztykać swoimi o jej paznokcie. Nie działa to wcale erotycznie, a tylko drażni. Dżentelmen nie wypija nigdy tego kieliszka, który mu może zaszkodzić i nie wraca nigdy domu „ciężko popity".

Magdalena Samozwaniec

LEON PASTERNAK

Wiosenny wiatr

Idą przedemną ze szkoły dziewczęta
a każda nie więcej jak... mnaście lat,
furkoce płaszczyk, szaliczek, sukienka;
gna nas uliczny, wiosenny wiatr!

Hop! Przeskakuję cieniutkie strużki
wody, co ciurka srebrzysta z rynien,
wiatr gdzieś wysoko odsłania nóżki...
— Cóżem ja winien?

Pędzę, zaglądam ksiutkom przez ramię,
„Słuchaj dzieweczko — ona nie słucha..."
nawet się nie chce spojrzeć tej — damie
na mnie brzydkiego, śmiesznego starucha.

A wiatr, zataczając się w śmiechu liznął
łzę, co mi zmętnie spływa spod rzęs!
— zdala już — igra frywolnie bielizna
noszona na wiosnę w żeńskiej pensji.

Choć za to ci, wietrze wiosenny, dzięki!
Bo się figlarzu mój tylko zastanów:
Cóż ponad wdzięki przykrótkiej sukienki
dla starszych panów — erotomanów?

ZE ZBIORÓW AMERYKAŃSKICH



Rys. Karol Baraniecki

Dwie Grecje



JAN CZARNY

PAN PREZES

Stabilizacja! Więc powoli
znów przedwojenny wraca stan:
pana Prezesa nerka boli,
a jego Piotruś pije tran.

I Prezesowa znów się mizdrzy,
bo jej małżonka strasznie żal:
— Kostek wychodzisz? Czekaj gdyż azaży.
Zapnij rozporek. Zawiąż szal.

Stabilizacja! Znów od nowa
ten przedwojenny wraca dryg.
— Andziu — znów woła Prezesowa,
zejdziesz z Pimpusiem zrobić siki

Znów patronują stare znaki.
A wśród kołtunów ten sam krok.
Pieski. Kanarki. PAL. Kossaki.
Mocca. Pelisa. Five o'clock.

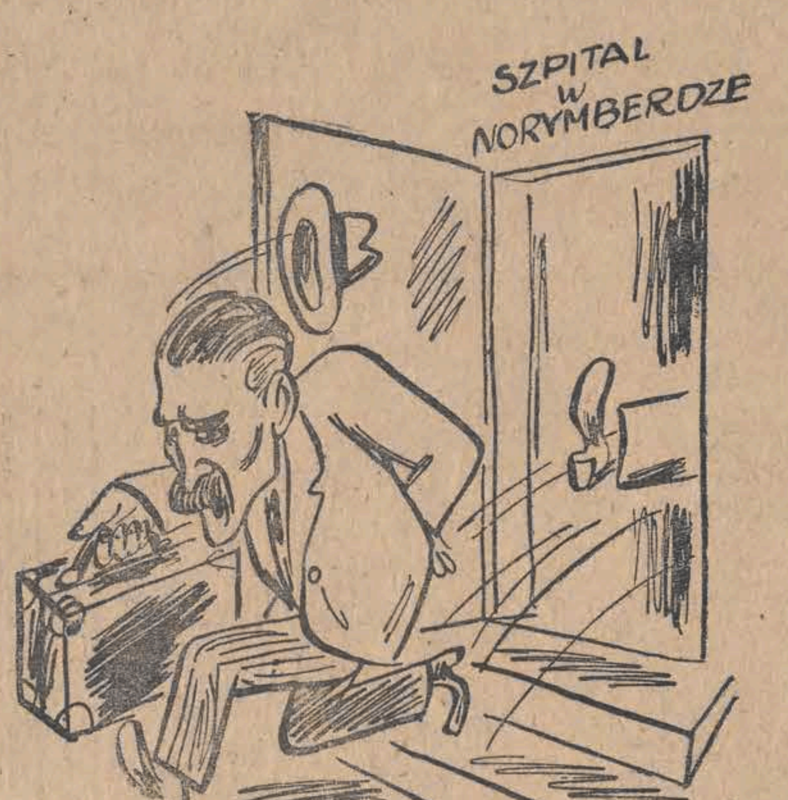
Znowu z Prezesem pije brudzia
uszminkowane stado srok:
— Kwalifikacja? — Biust. Podudzia.
Za pulchną nockę tłusty rok.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Zaniepokojony poeta do Ministra Kultury i Sztuki

Panie Ministrze ogół szerszy
Nigdy nie czyta naszych wierszy.
Szerokim masom mandolina
Milsza, niż lira Apollina.
Proszę zapytać np. zduna,
Czy czytał np. zdun Jastruna.
Odpowie, gdy go Pan zapyta,
„Znam tylko piece swe i kwita!"
Zabieram głos w tej smutnej sprawie,
By Pan pomyślał o ustawie,
Która nakaże, aby szersze
Masy czytały nasze wiersze.
Śnię o powszechnym obowiązku
Czytania tutaj i na Śląsku.
Niech do konsumcji w każdym barze
Konsumcję wierszy Pan nakaże,
Bo gdy zbłądziły już pod strzechy
Najgorsze wielkomiejskie grzechy,
Nie zbłądził pod nie wielki Adam.
Panie Ministrze, do stóp padam
I rymowane to pytanie
Piszę w lirycznym, groźnym stanie,
Bo wiosna serce me rozpiera
I muza nagli... etcetera,
A gdy zaśpiewam nieśmiertelnie,
Nie przyjmą wierszy mych spółdzielnie,
Bo to poezja, to nie proza,
Panie Mistrze, jaka zgroza!

VON PAPEN „SKAZANY" PRZEZ SĄD DENAZYFIKACYJNY ZMIENIA MIEJSCE DOTYCHCZASOWE GO POBYTU



Rys. Tadeusz Ulatowski

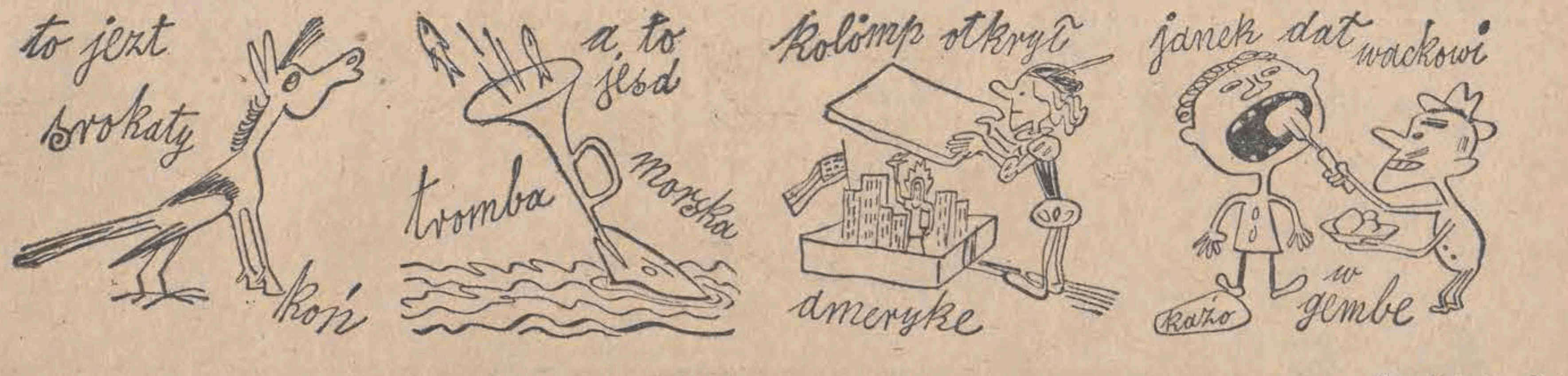
Won Papen!

GEN. FRANCO ŻĄDA OPUSZCZENIA PORTUGALII PRZEZ DON JUANA



Rys. Tadeusz Ulatowski

Opuść pan Portugalię!



Rys. Kazimierz Grus

JAN HUSZCZA

Ilustr. KAZIMIERZ GRUS

Drobiazgi

PUBLICZNOŚĆ

Na koncerty, jak wiadomo, uczęszczają przede wszystkim ludzie przeziębieni. Nigdzie więcej nie spotkasz tylu kaszlących jak właśnie w salach koncertowych, co znakomicie przeszkadza w odbiorze właściwych wrażeń.



Do teatrów natomiast chodzą ludzie, którzy mają o pięć — dziesięć minut czasu za mało, bowiem już pod koniec drugiego aktu po widowni jak iskra elektryczna przebiega syk: — Zygmuś, Kajtuś, Fajtuś... wymknij się do szatni po płaszcze!

Podczas ostatniego aktu przeważająca część publiczności tłamsi przed sobą między — i pod krzesłami swoje płaszcze, narzutki, kapelusze, pelisy i fokowe żakiety.

Przed samym zakończeniem wszystko to wstaje i ubiera się, by zanim jeszcze opadnie kurtyna — depcząc cudze głowy, ręce i nogi, znaleźć się u wyjścia.

Całe szczęście, że nastała wiosna! Publiczność nie będzie miała co zostawiać w szatni i odpadnie denerwujący rumor, zwiększą się warunki dla nieodzownego skupienia.

UZNANIE Z DATĄ 1947

Znakomitemu pisarzowi N. jego rodzinne miasto w dowód uznania przyznało nagrodę literacką.

Na uroczystość wręczenia przybył zdaleka szczęśliwy laureat... Powinszowania, bankiety, przemówienia. Ktoś wystąpił z projektem wzniesienia pomnika, jeszcze przed tym przemianowano dwie ulice (od ub. roku ani razu nie były przemianowywane!), wszyscy noszą wprost na rękach swego pisarza.

W czasie najgorętszego uniesienia, zwraca się do pisarza burmistrz:

— Mistrzu, wszystko dla pana! Pomniki, tablice... no, czego pan by jeszcze pragnął?



— Chciałbym zamieszkać w rodzinnym mieście. Znajdziecie dla mnie mieszkanie?

— Wykluczone! — pada zdecydowana odpowiedź.—Przeżywamy niezwykłe trudności. Nawet mój referent Cienciała dręczy się w trzech zaledwie pokoikach, a ma przecież żonę i służącą...

KACZEŃCE

Z pewnym chłopskim poetą, znanym piewcą wszystkich uroków kaczeńca, szedłem ubiegłej wiosny wzdłuż podmokłej łąki.



— Panie, niech pan spojrzy w lewo: jakież piękne, żółte kwiatki na szerokich liściach się kołyszą! — woła nagle zachwycony poeta chłopski.

— Toć to kaczeńce... — mówię.

— Kaczeńce?...

PODOBNO...

Podobno wkrótce na kartki żywnościowe otrzymamy haczyki do wędek. W ten sposób każdy będzie mógł się aprowizować.

JAK UNIKNĄĆ TŁOKU W POCIĄGU?

Narazie, ze wszystkich znanych mi sposobów, jeden tylko uważam za skuteczny: nie jeździć!

PRZEJŚCIE SUROWO WZBRONIONE



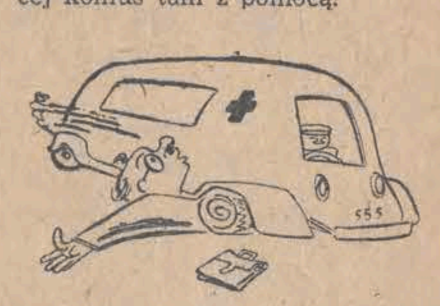
Jestemy przekorni aż do ostateczności!

Niedawno w miejscu przez nikogo nigdy nie uczęszczanym, w wąskim przesmyku między jednym murem kamienicznym a drugim, wywiesiłem kartkę z napisem: „Przejście surowo wzbronione..."

Ani się opatrzyłem, jak stanie pede ruszyli tędy uczniowie, urzędnicy, kupcy, artystki, literaci i w ogóle wszyscy, nie wyłączając nawet mnie samego.

NAJBARDZIEJ ZŁOŚLIWA ŚMIERĆ

Tak ją sobie niekiedy wyobrażam: zginąć pod kołami karetki pogotowia ratunkowego, spieszącej komuś tam z pomocą.

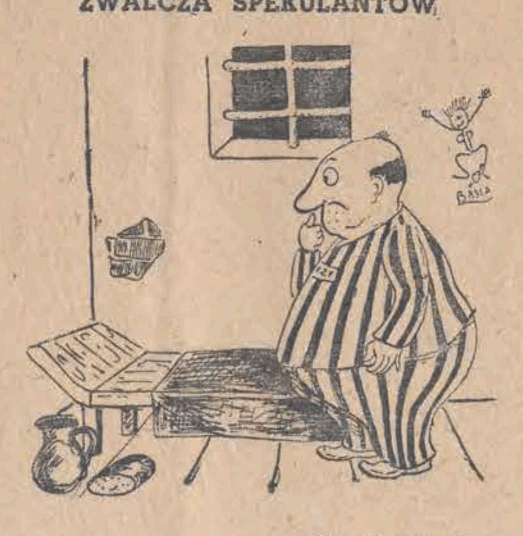


PRZEW. ŁÓDZKIEJ KOMISJI SPECJALNEJ, MADEJ, ZWALCZA SPEKULANTÓW



Rys. Adam Bieńkowski

— Obywatelu strażniku, proszę nie myśleć, że to ja zrobiłem: to myszy!



Rys. Jan Lenica

MADEJOWE ŁOŻE



Rys. Adam Bieńkowski

— Ja dostałem 10 lat za włamanie do składu z cukrem, a kolega za co siedzi?
— Ja miałem skład z cukrem!

STANISŁAW DYGAT

Kącik niezadowolonych

Do redakcji naszego tygodnika jak do redakcji wszystkich tygodników na świecie nadchodzi mnóstwo listów od czytelników. Są wśród nich listy, zawierające słowa pochwały lub nagany, czy nawet wręcz pogróżki, są propozycje współpracy w takiej lub innej formie, ale prócz tych zwyczajnych powszechnie znanych gatunków korespondencji, można odnaleźć listy zupełnie odmienne, napozór bez sensu, w gruncie rzeczy mające jednak głęboką wymowę. Te listy nie tyczą w zupełności pisma ani jego spraw, nie proszą o nic, ani o nic nie zapytują. Poprostu ludzie użalają się w nich, podają do wiadomości, swoje kłopoty i zmartwienia. Członkowie redakcji zastanawiali się długo cóż może skłaniać tych ludzi do pisania takich listów, aż w końcu doszli do następujecego wniosku: każdy człowiek jest zdania, że jego osobiste sprawy muszą interesować innych (patrz literatura dwudziestolecia i nietylko dwudziestolecia), dlatego czują potrzebę uzewnętrznienia ich i podania do ogólnej wiadomości. Aparatem służącym do rozpowszechniania wiadomości jest prasa. Ludzie piszący do nas owe dziwne listy nie mają wprawdzie nadziei, aby je opublikowano, wszelako sam fakt otarcia się o rozgłośnię osobistych przeżyć przynosi im ulgę. Z tego więc powodu redakcja „Rózeg" postanowiła dać pełną satysfakcję niewyżytym chęciom uzewnętrzenienia kłopotów i zmartwień autorów owych listów i godniejsze uwagi drukować w miarę napływania w tej rubryce. Czytelnicy znajdą wśród nich krótsze i dłuższe, podpisywane i anonimowe. Nierzadko zdarzają się i nazwiska znanych ludzi. Wszystkie listy cytowane będą in extenso. Zwracamy uwagę naszych czytelników, iż pod pozorem błahości i głupstwa kryją się w tych listach różne drobne niedole, do których ludzie wstydzą się naogół przyznać, a które w codziennym życiu niemało sprawiają utrapienia.

Redakcja

* * *

Mieszkam w Julianowie i codzień rano jeżdżę do pracy jedenastką. Daleko, bo aż na drugi koniec Piotrkowskiej. Aby skrócić sobie czas jazdy czytam w tramwaju gazetę. Dzień w dzień przy placu kościelnym wsiada jakiś brodacz, z tą samą gazetą co ja, siada obok mnie i w ogóle nie rozkłada swojej gazety, tylko czyta moją mi przez ramię. Tak mnie to denerwuje, że postanowiłem jeździć piątką, choć to niewygodnie, bo trzeba się przesiadać, a i koszty się zwiększają. Wszelako pierwszego dnia koło poczty wsiadł do piątki jakiś pan w binoklach i z laską bambusową, usiadł koło mnie i zaczął mi czytać przez ramię gazetę, choć tę samą trzymał na kolanach. Muszę chodzić do pracy na piechotę. To mnie męczy i obawiam się iż mogę dostać żylaków.

Adolf Karasiński — subiekt bławatny.

Julianów Biegańskiego 18a.

* * *

Wziąłem zaliczkę u jednego wydawcy na książkę, poczym znudziło mi się ją pisać i zacząłem pisać drugą, biorąc na nią zaliczkę u drugiego wydawcy. Bardzo mnie męczy przechodzenie na drugą stronę ulicy, gdy spotykam pierwszego wydawcę.

podpis nieczytelny

Łódź, Bandurskiego 8.

Wczoraj wszedłem do „Fraszki". Było zajętych osiem stolików i wszystkie osoby przy tych stolikach czytały „Szpilki". Wyszedłem z „Fraszki", mimo iż umówiłem się w ważnej sprawie.

Stefan Stefański

(Nie podany zawód ani adres. Redaktor „Rózeg" stanowczo i z oburzeniem wypiera się autorstwa tego listu. Redagujący tę rubrykę nie jest jednak całkowicie przekonany o prawdzie jego słów).

* * *

Nie podoba mi się twarz papierosiarza, u którego codzień kupuję papierosy.

Jerzy Bober

Kraków, Krupnicza 22.

W ZWIĄZKU Z NADEJŚCIEM NOWEGO TRANSPORTU POMARAŃCZY CATAŃSKICH



Rys. Stanisław Cieloch

Owoc Ca-tani

STEFAN DRZEWOŻYCKI

STRĄCIŁEM KAPELUSZ

(z notatnika kinomana)

Poszedłem do kina. Nudy. Nie wiem, co robić: obserwować akcję i nie czytać napisów, czy odwrotnie? A tu pantofle uwierają. Najczarniejsze myśli przychodzą do głowy. Napewno mnie Jadzia zdradza, tylko nie wiem z kim. Liczę długi... Wyłania się astronomiczna cyfra... Źle i smutno. Angielka na ekranie mizdrzy się do Anglika i gada jak najęta.

Mam przy sobie kozik. Może porżnąć ekran w kawałki? Rezygnuję. Za wielka awantura. Kozik zabiorą

Pantofle coraz silniej uwierają. Żeby przynajmniej można było zapalić. Wyjść z kina? Nie wypada. „Po pracy odpoczywaj w kinie!" Angielka wyje piosenkę. Znienawidziłem Angielkę. Anglik oświadcza się barytonem. Głos — jakgdyby ktoś walił obcasem w bęben. Jakże można w takim języku mówić o miłości? Znienawidziłem Anglika.

Przede mną — kapeulsz, damski, modny kapelusz. Zasłania cały ekran. Znienawidziłem kapelusz. Odczuwam chęć, by go strącić. Mała heca i wyjdzie się z kina. Chęć zamienia się w pasję, pasja — w „czynów stal". Uderzam lekko pięścią w w/w okrycie głowy. Lekko, ale zdecydowanie. Dama odwraca gwałtownie głowę.

— Jak pan śmie?

— Śmiem — odpowiadam obojętnie i, powstrzymując ziewanie, uderzam po raz drugi.

Baba w krzyk.

— Bileter, kontroler, milicja!!!

Zapalają światło. Zjawia się organ bezpieczeństwa, a ja siedzę spokojny i zadowolony.

— Teraz — myślę z ulgą — wyrzucą mnie z kina.

Dama wyjaśnia: bił w głowę, strącił kapelusz.

Organ milicji (do mnie): To prawda? Bił pan w głowę i strącił kapelusz? — Prawda. Biłem i strąciłem!

— Dlaczego pan to zrobił? — dziwi się milicjant.

— Dlaczego? Bo film nudny, gadają po angielsku, pantofle uwierają, palić nie wolno, kupa długów, Jadzia mnie zdradza...

— Owszem — zgadza się organ bezpieczeństwa — rozumiem, ale cóż panu zawinił kapelusz tej obywatelki?

— Zasłaniał. Odcinał od Anglików, pantofli, papierosa, długów i Jadzi.

Milicjant marszczy brew i otwiera notes. Przyglądam się temu z radością. Publiczność skanduje: Ły — sy graj al — bo for — sę od — daj!

— Teraz chyba wyjdę z panem? — pytam ucieszony, gdy milicjant kończy notować.

— Nie — odpowiada surowo organ bezpieczeństwa. — Pocóż? Siedź pan do końca. Kapelusz strącony, więc dobrze pan będzie widział, a wezwanie z sądu przyjdzie do domu...



Rys. Zbigniew Kiulin

— Przychodzę do pana z moim woreczkiem żółciowym!



Rys. Jan Lenica

ZEMSTA



Rys. Zbigniew Kiulin

— Ma pan szczęście, bo akurat w tym domu mieszka lekarz!

— Eee, jakie tam szczęście: to ja nim jestem!!!

MARGOT BENNET

Ilustr. Karol Baraniecki

Mój wuj był geniuszem

Jak daleko sięga moja pamięć, widzę ciągle mego Alfreda — wynalazcę. Mieszkał z nami, lecz jako milczący geniusz, nigdy do nas nie mówił. Był niezwykle spokojny. Spał do południa, później pił wygodnie śniadanie w łóżku. Wstawał około godziny drugiej i wychodził do ogrodu, aby popatrzeć na kwiaty. Gdy nie było kwiatów patrzył na chwasty, a gdy padał deszcz grał jednym palcem na fortepianie. O godzinie czwartej zjadał obfity podwieczorek, zawsze milcząc, a potem kładł się do łóżka.



— Brak mu już dawnej ruchliwości — oto jedyne wytłumaczenie jakie mama moja znajdowała dla takiego postępowania wuja.

Po kilku latach takiego zachowania się, oczekiwałam, naturalnie, że będzie ono trwało wiecznie. Było to dla nas wielką i nieoczekiwaną rewelacją, gdy nastąpiła nagła zmiana. Wuj zeszedł pewnego dnia, jak zwykle gdy wychodził do ogrodu. Lało jak z cebra. Wuj zbliżył się do fortepianu. Właśnie po raz pierwszy od dwóch lat, przyszedł stroiciel. Wuj uśmiechnął się, zamknął oczy, wziął książkę i powrócił do swego pokoju.

— Co to było? — zapytała mama drżąc.

— To „Młodość wielkich ludzi" — odpowiedziałam płacząc.

Zrozumieliśmy, że zaszła wielka zmiana i rzeczywiście każdy dzień przynosił teraz coś nowego. Z początku geniusz czytał książki w łóżku, potem zaczął chodzić do biblioteki publiczenj. W ciągu sześciu miesięcy dawny wuj Alfred zniknął. Zamiast niego mieliśmy człowieka wykazującego oszałamiającą aktywność, który wstawał o 5,30, pracował do 8-ej, połykał szklankę herbaty, biegiem okrążał ogród i powracał do pracy. Nie widzieliśmy wprawdzie na czym ta praca polega, lecz trwała nieraz dłużej niż do północy.

Pewnego wieczora mama postanowiła użyć bronzowego świecznika, który dostała jako prezent ślubny. Myślała, że chętnie porozmawiamy przy świetle świec (w naszej rodzinie zwykle siedzieliśmy milcząc). Siedzieliśmy zatym, spokojnie i trochę niezadowoleni, przy bronzowym świeczniku, gdy wszedł wuj. Niezwykłość sytuacji uderzyła go.

— Pomyślę nad tym Zuzanno — powiedział z dziwnym uśmiechem. Jestem przekonany, że da się to ulepszyć.

Powrócił po chwili z czajnikiem w ręku.

— Porobiłem knoty z koszuli — powiedział — lecz nie wiem czy będą dobre. Zawołaj twego męża Zuzanno.

Wszedł ojciec. Wuj poważnie i cokolwiek zmęczony, pamiętam, że wyraz jego twarzy przypominał mi bohatera pewnej powieści — podarł koszulę na kilka kawałków, porobił z nich knoty i jeden zanurzył w czajniku. Następnie zapalił zapałkę i zbliżył ją do szmatki. Knot chwilę zaskwierczał niezdecydowanie, potem nagle zapalił się wydając gęsty, czarny dym. Wuj wynalazł lampę naftową!

Na mamie wywarło to głębokie wrażenie, ale ojciec zapalił spokojnie elektryczność i wyszedł.

Wuj nie stracił rezonu. Ponieważ pokój śmierdział naftą i dymem wyszedł więc w ślad za ojcem.

Lampa była jedynie pierwszym jego wynalazkiem. Po tym każdy dzień przynosił nam nowość. Wuj godzinami przypatrywał się w kuchni jak para buchała z czajnika, a potem pewnego razu wynalazł maszynę parową. Po maszynie parowej „stworzył" teleskop, aparat fotograficzny, statek poruszany kołami wodnymi i kilka innych aparatów, których przeznaczenia nie mogliśmy się domyśleć. Zadał sobie wiele trudu zakładając w domu druty pierwszego telefonu. Ten ostatni wynalazek obudził w nim zmysł społeczny.

Zdaje mi się, że opatentuję tych kilka drobiazgów — oświadczył nam pokazując telefon — Był trochę poirytowany — Wydaje mi się, że widziałem wczoraj coś takiego. — Ludzie zaczynają kraść mi moje pomysły.

Dom był pełen zwojów drutu i czarnego dymu. Ojciec irytował się coraz częściej. Zaczął zabierać mnie z mamą do kina i to parę razy na tydzień, a przecież niecierpieliśmy kina. Zdaje się, że bał się wuja Alfreda.



Pewnego wieczoru mama przestraszyła się. Wróciliśmy z kina po to aby ujrzeć płomienie buchające z okien pierwszego piętra. Ojciec wpadł do domu, mama zemdlała, a ja pobiegłam telefonować po straż pożarną, nim przyjechała ogień prawie wygasł. Ojciec i wuj byli poparzeni, lecz nie zanadto a mama popijała wódkę.

— Co to było Robercie? — zapytała zsiniałymi wargami.

— Twój brat właśnie wynalazł gaz oświetleniowy — odpowiedział łagodnie ojciec i odebrał jej flaszkę z wódką.

— Trzeba nareszcie z tym skończyć — zawołał.

Zdawało się, że wuj Alfred zaczynał interesować się wozem bez koni. Lecz dopiero kinematograf wywołał jego entuzjazm.

— Wynalazek ten ma przyszłość Zuzanno — mówił — Przyjdzie dzień gdy ludzie będą płacić, by to zobaczyć.

Teraz zaczął notować swoje wynalazki i prosił ojca by je rejestrował w Urzędzie Patentowym. Ojciec niszczył je natychmiast. Znienawidził wuja do tego stopnia, że odmawiał mu wszelkiego talentu.

Gramofon jest jednym z wynalazków, które wuj przeoczył. Pewnego jednak wieczoru, gdy graliśmy marsze wojskowe, wszedł i w skupieniu słuchał przez kilka minut.

— Wydaje mi się, że byłoby możliwe produkować płyty dwustronne — oświadczył spokojnie.

Podaję ten szczegół, dla podniesienia faktu, że zdolności jego były nieraz zupełnie spontaniczne.

Po wynalezieniu światła elektrycznego i radia nienawiść mego ojca zamieniła się w strach.

— Zdaje się, że prawie dogonił postęp Zuziu — wyszeptał mamie do ucha — Tym razem musimy go koniecznie powstrzymać.

Mama nie chciała nic o tym słyczeć. Nawet gdy znaleziono wuja w ogrodzie w chwili gdy nakręcał sprężynę samolotu, nie chciała słuchać ojca.

— To dopiero zmieni mnóstwo rzeczy — powiedział wuj.

Puścił samolot i uskoczył w bok. Aparat ruszył ze świstem, wzniósł się w górę prawie prostopadle i ugodził jak pocisk w dach, który napoły rozwalił. Potem z dachu buchnęły płomienie. Mama zemdlała, a ja musiałam biec i telefonować po straż. Udało im się uratować większość domu.

Ojciec wypił prawie całą wódkę z naszej podręcznej apteczki i twierdził, że wuja należy zdabać, lecz mama, po powrocie do przytomności, zauważyła, że jak dotychczas, nikogo jeszcze nie zamknięto w zakładzie dla obłąkanych, za wynalezienie samolotu. Wrzaski ojca przeszły powoli w czkawkę i pozwolił zaprowadzić się do sypialni, gdzie zwęglone meble skwierczały jeszcze w rozlanej wodzie.

Następnym wynalazkiem wuja było kino dźwiękowe i byliśmy głęboko zdziwieni gdyż, to co opisuję, miało miejsce w roku 1920, na rok przed nakręceniem pierwszego filmu dźwiękowego. Wuj Alfred wyprzedził postęp.

Od dnia, w którym usłyszał film dźwiękowy, ojciec zaczął łysieć. Oblał naftą plany wuja i rzucił je w ogień. Mama płacząc, wspomniała coś o wandaliźmie.

Następnie wuj wymyślił kinematografię barwną i telewizję, lecz wydawał się czymś bardzo zajęty, a ponieważ nie mieliśmy pojęcia o żadnym z tych wynalazków, nie wiedzieliśmy czy należy okazywać entuzjazm czy też nie. Ojciec z przyzwyczajenia spalił plany.

Potem nastąpiła era materiałów wybuchowych, w czasie której ojciec zupełnie wyłysiał, wychudł i stał się nienormalnie nerwowy. Oczywiście, że wuj używał bardzo małych ilości wynalezionych przez siebie materiałów, lecz mimo to dom poddany wstrząsom, wynikającym z małych eksplozji i szyby wylatywały z okien. Trwało to dzień i noc. Wuj dużo rozprawiał o konieczności broni defensywnych i dał ojcu plany miny, która mogła wysadzić w powietrze wszystkie okręty w obrębie wielu mil. Dał również plan okrętu, który miał zniszczyć te miny. Wynalazł też samolot bez pilota. Jak to wszystko wydaje się dziś odległe!

Pewnego ranka wuj przyszedł na śniadanie. Jego zwykle zgasłe oczy błyszczały. Miały blask geniuszu.

— Mam nadzieję, że nie opatentowałeś tych wynalazków Robercie — powiedział ojcu — teraz są już one zupełnie przestarzałe.

Ojciec położył nóż i widelec. Tracił zawsze apetyt na widok wuja Alfreda.

— Wynalazłem bombę, która rozbija atomy. I gdy raz puści się ją w ruch jest bardzo wątpliwe czy uda się ją zatrzymać. Ale wiesz, że nawet nie będę się starał o opatentowanie tego wynalazku.

— Niemożliwe — zawołał ojciec, wylewając kawę.

Wuj przełknął trochę płatków owsianych. A to dlatego — wyjaśnił, że przyszło mi na myśl coś jeszcze lepszego. Myślę, że nie będziesz miał mi za złe, jeżeli zgłoszę się w Urzędzie Patentowym. Zdaje mi się, że wpadłem na coś bardzo ważnego.

— I co zamyślasz z tym robić? — zapytał dziko ojciec, pukając nożem po rozlanej przed nim kawie.

— Przede wszystkim zawiadomię nasz rząd. Potem, jeżeli się zgodzi, poinformujemy inne rządy. To jest jedyna pewna metoda.

— Tak — powiedział ojciec — Idź kup mi spinkę — polecił mi dziwnym jakimś tonem.

Poszłam. Gdy powróciłam ojciec stał na trawniku, obok zemdlonej mamy. Zaledwo mnie to zdziwiło, że dom był w płomieniach. Prawie odruchowo pobiegłam telefonować do straży.

— Obawiam się, że nie uda im się, niestety, wyratować twego biednego wuja, tym razem — odezwał się ojciec z zadowoloną miną i popijając wódkę którą cucił mamę.



Nie wyratowano ani wuja, ani domu. Nieraz myślę o tym czy ojciec miał rację. Zapewne, że tak, pod pewnym względem, gdyż mieliśmy 15 lat spokoju. Nie mogę jednak odżałować, że ten ostatni cudowny wynalazek zginął wraz z wujem w płomieniach. Byłoby to bowiem najzupełniej osobista tajemnica naszego kraju. Wuj Alfred odkrył tajemnicę wiecznego pokoju!

Tłum. Benedykt Brykczyński.



MIĘDZY NAMI

E. Ł. Z. P. O: Z: (Złotoryja) Pisze Pan: „w każdy... bądź razie chyba mi Panowie nie zaprzeczą, iż w moim wierszyku był rym?" Nie zaprzeczamy. Rym był, ale rytmu nie było, stylu nie było, ortografii nie było oraz sensu nie było. Sam Pan widzi: siła złego na jednego wierszyka pt. „Co jest najlepszą żeczą na świecie?" Wobec postanowienia Pańskiego: „do chumoresek nie mam cpecjalnego zamiłowania, mimo to jednak kupić nie kupić, pomacać można— radzimy: niech Pan pomaca. My i tak nie kupimy.

Krzywański (Wrocław). Dziękujemy uprzejmie za pozdrowienia. Brakujące numery „Rózeg" nadeślemy za zaliczeniem pocztowym.

„Jaje" (Jelenia Góra) Napisał Pan następującą fraszkę „Na demokratę":

Aby nie wyjść z nabytej raz formy
demokrata wychwalał reformy
Lecz wieczorem u lubej (co sprzeczne)
rzekł: reformy są całkiem zbyteczne.

Taki demokrata, nazywa się tout simplement — świntuch. Fe, panie „Jaje"!

Ignacy Gapczyński (Kraków) Ponieważ Gapczyński nie jest Gałczyńskim, przeto rzecz — jasna — „Wściekła gęś" nie umywa się do „Zielonej gęsi". Ponadto: oddajcie „Przekrojowi" — co jest przekrojonego... Tak stoi w Ewangelii (obacz Wojciech Bąk: „Piąta ewangelia").

„Kominek" (Warszawa) Już byliśmy pewni, że „Kominek" zgasł, a tu tymczasem się z niego jeszcze dymi:

FRASZKA

Był strapiony tylko po to
że był przed tym idiotą.

Głowa do góry, panie Kominek: może „potym" nie będzie!. „Szczyt biurokracji" bardzo zabawny, tylko poziom napisania bardzo niski. U podnóża tematu.

„Jot — zet" (Łódź) Jak pan zapewne zauważył — życzenie jego zostało spełnione. Wzięliśmy sobie do serca uwagę, iż „pisma humorystyczne, aczkolwiek nie są przeznaczone dla dzieci — mogą się dostać do ich rąk".

P. Osiński (Giżycko, woj. Olsztyn) Fraszkę pańską:

Zwielkiej chmury — mały deszcz.
Chmura — nowoczsny wieszcz. —

daliśmy do przeczytania pewnemu współczesnemu znakomitemu poecie. Zapłakał a potem poszedł siusiu. Rzeczywiście: mały deszcz. Wierszyk „o mózgownicy taty" — b. patologiczny, a co do utworu „słusznie" zgadzamy się. Zgadzamy się nie drukować.

„Freska" (Sosnowiec) Nadesłała Pani rysunek z podpisem: „nie ruszę się, muszę coś usłyszeć". Usłyszy pani: nie umieścimy.

K. Lewandowski (Łódź) Pisze pan: „niech i ja coś nie coś przyczynię się do powiększenia grona tych, co piszą, oraz jeden dowcip pod tytułem „Sznurek", a wszystko to pisałem osobiście". Wobec tak osobistego wiersza jak:

Idąc ulicą spotkałem dziewczynę
I aż połknąłem ślinę,
Buzia jak malowanie, nóżka jak u sarenki,
Same wdzięki, same wdzięki.
Idę za Nią ciekawy gdzie mieszka.
Owe bóstwo, panna Agnieszka.
Idę za nią ulicami
Nareszcie jesteśmy sami.
Pani pozwoli, że się przedstawię,
A potem z Panią pójdę i się zabawię.
Panna spojrzała na mnie ponuro.
I rzekła, a odczep się ciuro.
Ja chodzą na spacery z innymi panami.
Tylko z szabrownikami.
Taki ma pieniądze bawić się umie.
Taki to życie rozumie.
A pan co, pójdzie do kina,
I taką przyjemność ma z panem dziewczyna.
A szabrownik, co dużo opowiadać,
Zresztą mam pana dosyć i nie chcę gadać.
Odszedłem smutny i zamyślony,
Jakie to będą z takich panien żony.

Wiersz pt. „Tęsknota": tęsknię za moją Warszawą, jej dawnym blaskiem i wrzawą, boli mnie i płacze, kiedy ją znów zobaczę z wszystkimi ulicami a także zaułkami::." — przesłaliśmy w odpisach w-g. t. zw. kompetencji do: Biura Odbudowy Stolicy (BOS), Komitetu Odbudowy Stolicy (KOS), Dyrekcji Odbudowy Stolicy (DOS) i Rady Stolicy (ROS)

Albin Siekierski (Imielin na Górnym Śląsku). Humoreska pt. „Hańba Melpomeny" przynosi hańbę autorowi. Nie jesteśmy, proszę pana, zwolennikami używania w mowie i piśmie tak dosadnych dowcipów „w zakresie życia seksualnego w ogóle, a w dziedzinie stosunku płciowego w szczególe".

P. S. Kropki nie ratują sytuacji.

S. K. (Sobiecin) Nadesłał nam pan furę rysunków zagranicznych reprodukowanych w codziennych pismach krajowych. Po co Dla pana to pamiątka, a nam to niepotrzebne.

A to pan zna?

Markiz d'Aligre, jeden z najbogatszych ludzi drugiego Cesarstwa stał się przysłowiowy dzięki swojemu skąpstwu. Twierdzą o nim, że kiedyś powiedział do swoich dzieci:

— Jeśli przez tydzień będziecie pilne pracować, to pozwolę wam w niedzielę pójść do cukierni, gdzie ludzie jedzą lody i przyglądać się.

* * *

Charles Gounod mawiał do swoich zarozumiałych uczniów:

— Słuchajcie, przyjaciele — gdy byłem w waszym wieku, twierdziłem również, że na świecie jest tylko dwóch wielkich muzyków: ja i Mozart. Parę lat później mówiłem już: Mozart i ja. A dziś mówię tylko: Mozart!

* * *

Pewnego razu w czasie rozmowy o życiu przyszłym Voltaire oświadczył:

— W niebie zdziwimy się trzykrotnie. Po pierwsze dlatego, że spotkamy tam ludzi, których nie spodziewaliśmy się spotkać. Po drugie dlatego, że nie spotkamy tam ludzi, których spodziewaliśmy się spotkać. Po trzecie wreszcie dlatego, że sami tam będziemy.

Znakomity komik Feydau pewnego dnia zajechał do oberży w małym miasteczku.

Zapytuje kelnerkę:

— czy macie cykorię?

— Owszem.

— Ile paczek?

— Chyba ze trzydzieści.

— Dobrze, proszę je wszystkie przynieść.

Gdy kelnerka przyniosła, Feydau zapytał:

— Więcej cykorii już nie macie?

— Nie.

— Wobec tego poproszę filiżankę kawy.

* * *

Corbiere, minister spraw wewnętrznych za czasów Ludwika XVIII, przewodniczył kiedyś posiedzeniu, na którym był obecny król.

Szukając czegoś, minister powoli wyjmował z kieszeni tabakierkę, scyzoryk, chusteczkę do nosa, wiele innych podobnych rzeczy i metodycznie układał je na stole.

Ludwik XVIII rzekł:

— Ależ, panie Corbiere, pan formalnie opróżnia sobie kieszenie!

— Chyba to lepsze — odrzekł Corbiere z powagą — niż gdybym je zapełniał.

PMS WPROWADZA NA RYNEK NOWY GATUNEK WÓDKI



Rys. Stanisław Cieloch

„Extra Perla"

List do redakcji

Szanowna Redakcjo!

Jako stary i stały współpracownik „Rózeg" protestuję energicznie przeciwko tego rodzaju sposobowi zarobkowania, jaki od pewnego czasu uprawia bezwstydnie p. Jan Huszcza, żerując na dobrym imieniu Bogu ducha winnego (już Mu zresztą oddał — przyp. Red.) świętej i zasłużonej pamięci poety, Kaliksta Łasiczki.

W numerze 17 „Rózeg" pozwolił sobie pan Huszcza na niesmaczny żart, przypisując fragmenty własnego pamiętnika ś.p. Kalikstowi Łasiczce, sądząc, że tym sposobem znajdą prędzej łaskę w opinii czytelnika. Zuchwałość swoją posunął p. Huszcza tak daleko, że fragmenty owego pamiętnika ośmielił się opatrzyć własnym portretem wmawiając czytelnikom, że to autoportret ś.p. Kaliksta Łasiczki!

Ale poznać lisa po ogonie, a p. Huszczę po wąsach! Te sztywne, długie wąsiska, zwisające z pod fioletowego i jak bulwa kartoflana nochala, ten sztywny wysoki kołnierzyk gumowy, ten rypsowy zeszłowieczny halsztuk — zdradzają ponad wszelką wątpliwość znaną dostatecznie z burd karczemnych tudzież kronik milicyjnych charakterystyczną wielce fizys samego p. Huszczy.

Tak samo rzekomy pamiętnik ś.p. Łasiczki zdradza bez ochyby charakterystyczne cechy stylu samego p. Huszczy. Przecież nie tylko ja byłem naocznym świadkiem, jak p. Huszcza przez cały blisko miesiąc biedził się nad zagadnieniem, którego własnymi zasobami intelektualnymi rozwiązać nijak nie potrafił: czy rzeczywiście 2 x 2 równa się 4, a nie 7, jak mu to uparcie po trzeźwemu suponował Zygmunt Fijas. Aż go dopiero po pijanemu (przy mojej pomocy) przekonał ostatecznie i utwierdził w tym, że 2 x 2 = 4, Jerzy Wyszomirski.

Panowie! Więcej szacunku dla zmarłych, pamiętajcie, że prędzej czy później wy też nimi będziecie!

Racz przyjąć, Szanowna Redakcjo, wyrazy itd.

Marian Piechal

Skromna Miłosna, 20.4.47 r.

„Rózgi" ukazują się co tydzień. REDAKTOR: Stefan Stefański — REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 212-57.
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42 D-015567